



Jednodniówka



Organ prasowy
10. All About Freedom Festival

Czwarty dzień festiwalu
17 października 2016

Olo Walicki i Natalia Cyrzan: To jest zabawa emocjonalna i intelektualna

Z TWÓRCAMI OGRODU POWOLNOŚCI ROZMAWIA PAULINA RADKE



fot. Dawid Linkowski

DZISIAJ GRAMY

18:00

Creative Control,
reż. Benjamin Dickinson,
97 min.

19:45

Ogród powolności,
Wacław Zimpel

20:15

Zwariować
ze szczęścia
reż. Pailo Virzi,
116 min.

Jak wyglądała historia powstania Ogrodu Powolności?

Olo Walicki: Inspiracją jest jakość tego festiwalu. Znamy go już od dobrych kilku lat i propozycje filmowe, które mieliśmy okazję otrzymać w darze od festiwalu to jest coś, co inspiruje, zmienia i edukuje nas wszystkich. Zainspirowani byliśmy właśnie filmami i tą podnoszoną poprzeczką ich doboru. Zwiąaliśmy się z AAFF emocjonalnie, przynajmniej ja. Festiwal stał nam się bardzo bliski i przy okazji tegorocznej sesji zdjęciowej artystów promujących festiwal nawiązaliśmy kontakt z dyrekcją i wyraziliśmy chęć współpracy przy kolejnych edycjach festiwalu. Wszystko zaczęło kiełkować. Obie strony chciały pracować ze sobą i tak pojawił się pomysł ogrodu.
Natalia Cyrzan: Ogród wziął nam się stąd, że zaczęliśmy myśleć co możemy

dać widzowi, albo co sami chcielibyśmy poczuć wychodząc z seansu i to seansu specyficznego. Bo nie są to baśniowe fabuły, tylko często trudne dokumenty gdzie człowiek po obejrzeniu może być roztrzęsiony, rozdygotany i potrzebuje na chwilę się wyciszyć i pobyc z własnymi myślami. Od początku wiedzieliśmy, że chcemy pracować w ogrodzie.

Dlaczego akurat ogród?

O.W: To była nasza pierwsza myśl. Istota formy filmu dokumentalnego. Naturalnym balansem, tej twardej, hardkorowej rzeczywistości, o której te filmy często mówią, jest właśnie przyroda.
N.C: Przyroda, ale również surowa i bezkompromisowa architektura tego budynku. Ogród jest niesamowitym walorem tego wnętrza. Natura w połączeniu z nią zainspirowała nas do wykreowania

takiej przestrzeni, w której człowiek może trochę zaczerpnąć z natury i odpłynąć w dźwięki. Tu więc narodził się pomysł instalacji dźwiękowej. Instalacja nie z głośników, a w systemie dookólnym - dźwięk nas oplata, możemy się w nim zanurzyć. Jeśli jest dźwięk, czyli coś co koi, dodaliśmy do niego również światło czyli kolor. Stąd pomysł, który przyszedł później, aby zaaranżować przestrzeń również świetlnie. Chcieliśmy wyciszyć surową biel, która na co dzień tutaj króluje. Za tym poszła również współpraca z Gosią Rodek – scenografką. Wymyśliła ona prosty system puf, które zachęcą ludzi do korzystania z tej przestrzeni. Najważniejsze jest to, że ludzie przychodzą tutaj, aby czasami pobyc cicho i zatopić się we własnych myślach, a czasami aby

z kimś porozmawiać przyciszonym tonem, popatrzeć w sufit. Co ciekawe widzimy na nim wizualizację która jest właściwie efektem ubocznym światła które pada na drzewa. W zasadzie stała się ona takim naturalnym nawiązaniem do tafli wody. Dyrektor ECSu, Basil Kerski, w dniu otwarcia zauważył wiele nawiązań, a więc cieszymy się, że przestrzeń ogrodu przypadła do gustu również pracownikom Centrum.

fot. Grzegorz Mehring



Muzyka na przestrzeni dziesięciu edycji festiwalu zawsze się pojawiała, jednak od kilku lat możemy zaobserwować umacnianie jej pozycji, również w kontekście filmowym, chociażby przez wasz projekt.

O.W: Wydaje mi się, że jest to bardzo naturalne. Forma filmowa i forma wypowiedzi muzycznej są bardzo zbliżone. Myślę tutaj o odbiorze emocjonalnym i intelektualnym, zarówno filmu jak i muzyki. Posłużę się najprostszym przykładem. Gdy czytamy książkę, tekst nie ma dźwięku. Wszystko co dzieje się czytając, odbywa się tylko poprzez naszą wyobraźnię. Jeżeli chodzi o muzykę i film to jest połączenie podobnych doznań, dźwięku i obrazu. Muzyk jest aktorem na scenie. Ma swoją mimikę, ubiór, kształt instrumentu itd. Na scenie mamy kolory, dźwięk, ruch, treści, które mogą nawiązywać do czegoś związanego z historią,

Na ogrodowej scenie będziemy mogli podziwiać łącznie pięciu muzyków, solowych improwizatorów, a wy jak często improwizowaliście podczas tworzenia tej instalacji?

O.W: Ja jestem zawodowym improwizatorem jeżeli chodzi o grę na instrumencie, więc dla mnie wszystko było całkiem zaaranżowane i dobrze poukładane.

N.C: Ja jestem zawodową improwizatorką, animatorką i zawsze mam potrzebę improwizacji. Ja myślę, że to jest trochę tak jak w życiu. Im mniej jesteście sztywni wobec siebie nawzajem, im bardziej człowiek jest otwarty na to, że może się coś nie udać, żyłka może pęknąć, materiał może się nie nadać. Im bardziej jesteście otwarci na to, że tak może być, tym jest po prostu spokojniej. Wielokrotnie używaliśmy takiego stwierdzenia, że wypróbujemy i zobaczymy jak coś "siedzi w przestrzeni". Pewnego razu ECS prosił

nas żebyśmy zaznaczyli coś na planach a my nie bardzo wiedzieliśmy co powiedzieć. W końcu ktoś z tego samego zespołu powiedział: „Rozumiem, pracujemy na żywym organizmie” i dokładnie tak jest.

Jak widzicie ogród w kolejnych edycjach?

O.W: Jeszcze nie dostaliśmy żadnej propozycji żeby kontynuować naszą inicjatywę w kolejnych edycjach, ale chyba wszyscy się zgadzamy, że to się po prostu sprawdza. To jest wspaniałe, bo to jest nasza praca artystyczna, którą traktujemy bardzo osobiście. Mamy bardzo intymny, nasz prywatny związek z tym festiwalem. To jest ogromna radość żeby móc zrobić to, co się naprawdę czuje. To nie jest praca na zlecenie czy rzemiosło artystyczne, to nasza twórczość.

N.C: Jesteśmy niesamowicie wdzięczni za to, że ECS pozwolił nam zrobić to po swojemu tak jak sobie to wymyśliliśmy i ja uważam że obojętnie co się wydarzy, to wspaniale byłoby gdyby ECS kontynuował te tradycje i przy okazji kolejnych edycji AAF będziemy mogli ogród odmieniać, bo to jest nieskończone pole manewru i inspiracji.

**OGRÓD
POWOLNOŚCI**

**DZIŚ O 19:45
KONCERT
WACŁAWA ZIMPLA**

Cybertechnologie: wspaniałe możliwości czy zagrożenie?

WERONIKA BUZUK

XXI wiek wszystkim zapewne kojarzy się z rozwojem technologicznym, nowoczesnością i postępem. Trudno nam wyobrazić sobie wyjście z domu bez telefonu, czy dzień w którym nie zajrzelibyśmy, choćby na chwilę na facebooka. Elektronika wtargnęła w naszą codzienność szturmem. W cyberprzestrzeni wszystko wydaje się szybsze i prostsze, jednak do czego może nas to zaprowadzić?

Gdy wynaleziono pierwszy komputer w 1946 roku, nikt nie spodziewał się, jak ogromny wpływ będzie miało to na codzienność. Na początku komputery zajmowały całe pomieszczenia i były wykorzystywane wyłącznie do obliczeń laboratoryjnych i wojskowych. Dziś urządzenia te wykorzystywane są we wszystkich dziedzinach życia. Kierują ruchem drogowym, uczestniczą w produkcji przedmiotów codziennego użytku, czy pozwalają nam poznać drogę, za pomocą GPS. Wiele instytucji wykorzystuje komputery aby prowadzić różne ewidencje i księgowość. Cyfryzacja funkcjonuje na każdej płaszczyźnie życia i nie możemy jej uniknąć.

Kolejnym wynalazkiem, który zmienił świat i wpłynął na społeczeństwo, był internet. Odkąd powstał w 1969 roku, nic już nie było takie jak dawniej. Wiele ograniczeń po prostu przestało istnieć. Rzeczy niemożliwe stały się realne, dostępne każdemu. Mając dostęp do internetu możemy dowiedzieć się, co dzieje się w odległym kraju, wszystkie informacje, których dawniej trzeba było długo szukać, dziś są na wyciągnięcie ręki. Nie musimy iść do biblioteki, by przeczytać w słowniku definicję niezrozumianego słowa. Wystarczy kilka kliknięć, by poznać



odpowiedzi na nurtujące pytania. Jest nawet takie powiedzenie, że jeżeli nie ma na jakiś temat informacji w internecie, znaczy, że to nie istnieje. Mówi się również, że świat to globalna wioska, ponieważ dzięki szybkiemu dostępowi do wiadomości z całej kuli ziemskiej, żadna odległość nie wydaje nam się tak duża, żadna kultura tak obca. Ważna jednak jest świadomość, że nie zawsze informacje w internecie są sprawdzone. Może napisać je każdy, nawet ktoś, kto nie zna danego tematu.

Wszystko to w znaczący sposób wpływa na relacje międzyludzkie. Wizja szybkiego kontaktu, bez konieczności wychodzenia z domu, zaowocowała utworzeniem różnych mediów społecznościowych. Najpopularniejszym z nich jest oczywiście facebook, jednak istnieją też różne fora czy portale łączące ludzi związanych z jakimś miejscem, pracą, czy zainteresowaniami. Każdy

może znaleźć coś dla siebie. To, co stanowi o popularności tej formy kontaktu, to wspomniana już łatwość. Nie musimy umawiać się na spotkanie, by porozmawiać ze znajomymi. To sprawia, że jesteśmy bardziej spontaniczni w rozmowach. Ma to oczywiście swoje wady. Ludzie rzadziej się spotykają, wiele ważnych rzeczy mówią sobie za pośrednictwem portali społecznościowych. Wiele niezwykłych chwil traci swoją magię, gdy spojrzenie w oczy i osobisty kontakt zamieniane są na znaki na ekranie monitora.

Na forach czy w grach, gdzie posługujemy się nickiem i nikt nie zna naszych danych, jesteśmy anonimowi. Dzięki temu możemy wyrażać swoje zdanie bez obaw o rozpoznanie. Mamy też szansę dowolnego kreowania swojego wizerunku. Możemy stworzyć siebie na nowo, być może tym, kim chcielibyśmy być naprawdę. Ma to duże znaczenie w kontaktach z innymi. Sprawia, że łatwiej jest kogoś poznać, porozmawiać o wspólnych zainteresowaniach, bez jakichkolwiek zobowiązań, bez konieczności odsłonięcia prawdy o sobie. Takie rozwiązanie jest fascynujące dla wielu ludzi, ponieważ pozostawia dużą swobodę i możliwość zakończenia kontaktu bez konsekwencji. Niestety,



wiążą się z tym również to fenomen, czasem niebezpieczny. Niebezpieczeństwa. Nie wiemy, kto jest po drugiej stronie, dlatego możemy zostać oszukani. Problem stanowić może również to, że angażując się zbyt mocno w cyberprzestrzeń, możemy przestawać zauważać rzeczywistość wokół.

Ludzie czasem zbyt mocno wierzą w wirtualny świat. Nie potrafią odłączyć internetu i rozpocząć prawdziwej konwersacji. Nie czytają książek, lecz ufają wiadomościom z sieci. Technologia

to fenomen, czasem niebezpieczny. Nie da się ukryć, że jest to najważniejsze medium naszych czasów. Czy jest to dar, czy przekleństwo?

Podobne pytania stawia Benjamin Dickinson w swoim filmie "Creative Control" opowiadającym o relacjach między ludźmi w epoce cybertechnologii. Być może seans będzie czasem na wyłączenie telefonów i refleksję, do czego zmierzamy w zafascynowaniu nowinkami technologicznymi.

**POKAZ FILMU
CREATIVE CONTROL
DZIŚ O 18:00**



Taniec według GaGi, czyli sztuka przyjemności

KINGA WEINBERGER

Dokument Mr. Gaga nie jest opowieścią o alter ego popowej piosenkarki, co niewtajemniczonym mogli zasugerować psotnicy tworzący ostatnią stronę wczorajszego numeru „Jednodniówki”. Obraz Tomera Heymanna jest niczym innym jak wyłożoną na pięknym, ozdobnym półmisku ekscytującą historią niezwykłego człowieka podczas wizualnej tanecznej uczty.



"Nigdy nie widziałem takiego połączenia piękna energii i umiejętności" - takie słowa możemy usłyszeć w filmie o jego bohaterze. Ohad Naharin: tancerz, choreograf, muzyk, dyrektor artystyczny Zespołu Tańca Bat-Szewa, ale przede wszystkim wizjoner, który odmienił charakter tańca nowoczesnego w Izraelu oraz prawdopodobnie na całym świecie. Jednak zapewne największym osiągnięciem Naharina pozostaje

stworzenie formy wyrazu, która zrewolucjonizowała system kształcenia tancerzy na całym świecie. Język GaGa, bo tak została nazwana ta metoda, nie tylko służy profesjonalnym tancerzom. Jest również wykorzystywana przez terapeutów, pedagogów, nauczycieli oraz prowadzących szkół tańca dla ludzi w każdym wieku. Jednym z głównych przesłań jej autora jest po prostu czerpanie przyjemności ze swojego ciała oraz słuchanie go, a korzyści mogą być

zaskakujące.

Niesamowita historia człowieka, która jest widzowi opowiadana przez samego jej bohatera oraz przez jego rodzinę, przyjaciół i współpracowników, nie jest pełna zwrotów akcji, niewyobrażalnych tragedii czy zawitych intryg. To opowieść o człowieku, który dzięki swojemu talentowi, charyzmie i elektryzującej ekscentryczności dąży do perfekcji przez nieperfekcyjne życie – właśnie dlatego tak łatwo się

identyfikować z tym, jak się wydaje, odbiegającym od przeciętnej codzienności mężczyzną.

Wielkim atutem dzieła Heymanna jest montaż. Prowadzone linearnie dzieje twórcy GaGi przeplatane są zapierającymi dech w piersiach fragmentami z jego przedstawień oraz starymi taśmami z dzieciństwa i młodości Naharina. Dzięki temu idealnie zbalansowano jego życie prywatne oraz twórczość, co oczywiście trudno od siebie oddzielić, ponieważ ten człowiek żył tańcem. W każde swoje

widowisko – czy to stał za kulisami i darł sobie włosy z głowy jako choreograf, czy jako tancerz, występując na scenie, wyrażał siebie i to, kim jest.

Festiwal All About Freedom przybliżył rozmaite formy wolności. Mr. Gaga to film subtelnie muskający temat wolności w tym powszechnym znaczeniu: wolności słowa, wolności wypowiedzi, wolności religijnej. Najbardziej dotyka on wolności człowieka w swoim własnym niedoskonałym ciele, jego ograniczeniach, ale i ograniczeniach umysłu i przekraczaniu podświadomie wyznaczanych sobie granic.

Ohad Naharin uwolnił niezliczoną liczbę osób i pewnie nadal będzie to robił przez kolejne pokolenia – nie przez zrywanie łańcuchów, a przez mowę ciała – taniec.

Po seansie z żalem przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w mapę świata, ponieważ oddałabym wszystkie oszczędności, aby obejrzeć Zespół Tańca Bat-Szewa występujący na żywo pod wodzą Mistera Gagi. Na szczęście Tomer Heymann sprawił nam tę przyjemność i możemy przeżyć to wszystko na srebrnym ekranie, a nawet więcej!



Toni Erdmann: Kiedy żart przeplata się z rozpaczą

KAROLINA WARYŚ

Ciepło przyjęty na festiwalu w Cannes ironiczny komediodramat, który pozostawia widza na pastwę prawdziwej huśtawki emocjonalnej. Seans, pomimo swojej niemiłosierniej długości, nie miał absolutnie nic wspólnego z torturami.

Poznajemy głównego bohatera – Winfrieda (Peter Simonischek) w dość nietypowy sposób, bo z perspektywy kuriera. Od razu możemy zauważyć, że nasza postać nie jest zwykłym starszym panem. Przeciwnie – to młody duchem żartowniś, który uwielbia rozweselać ludzi i dobrze się bawić. Ma do siebie ogromny dystans, z każdą kolejną minutą poznajemy go lepiej i zaczynamy odczuwać w stosunku do niego coraz większą sympatię. Podążamy za nim w przygodzie do Bukaresztu, która ma na celu odświeżenie relacji z córką Ines (Sandra Hüller) – odnoszącą sukcesy bizneswoman.

Sposobem Winfrieda na ubarwienie życia córki jest wcielanie się w Toniego Erdmanna. Używa do tego sztucznych krzywych zębów, mizernej peruki i sfatygowanego garnituru. Przypadkowo spotykany na przyjęciach czy w restauracjach przedstawia się jako coach lub nawet niemiecki ambasador. Córce, rozpaczliwie walczącej o swoją pozycję w branży, zachowanie ojca zdaje się bardziej przeszkadzać niż pomagać. Podczas wspólnej piosenki ojca i córki doświadczamy prawdziwego crescendo.

Ines daje upust emocjom, śpiewając The Greatest Love Of All. W samym tekście odkrywa ukryte przesłanie życiowe, pewnego rodzaju wskazówkę, której wcześniej nie zauważała. Gwałtowne wyjście Ines zwraca uwagę na fakt, że coś do niej dotarło. Zapukała do niej dotychczas niedostrzegana istota życia. Od pierwszego momentu witają nas schludne i dobrze przemyślane kadry. Z obrazu bije ciepła aura, która wciąga i nie wypuszcza ze swoich siatek. Chcemy być wewnątrz i nawet nie myślimy o tym, by się opierać. Przez sprawne prowadzenie narracji i techniczną magię obrazu bez reszty zatracamy się w akcję filmu. Stajemy się współuczestnikami historii rozgrywającej się na ekranie. Nie sposób oderwać oczu od obrazu, ponieważ czujemy jakbyśmy naprawdę przeżywali to, co przydarza się bohaterom. Odwracając wzrok, stracilibyśmy świadomość bycia wewnątrz. Prawie trzygodzinny seans nie dłuży się mimo uczestniczenia w wielu niezręcznych milczeniach czy oczekiwaniach. Pomimo biegnącego (jednak nie zawrotnie) rytmu życia bohaterów, mamy również trochę czasu na własną refleksję. Reżyserka

zgrabnie przechodzi z narracji z perspektywy ojca w tę z perspektywy córki. Łącznikiem często jest taksówka. Jedno z nich opuszcza ramy narracyjne, więc przenosimy się do życia tego drugiego – dzięki temu możemy przeżywać historię oczami obojga bohaterów w takim samym stopniu. Toni Erdmann to najlepszy dowód na to, że ludzkie życie nie składa się z samych dramatów i komedii. To jeden z tych filmów, który zostaje w głowie widza jeszcze przez długi czas po obejrzeniu. Absurd przeplata się tutaj z niekłamana powagą, a żart z rozpaczą. Podczas seansu zdążymy kilka razy popłakać się ze śmiechu, ale też zasępić na widok ludzkiej krzywdy czy beznadziejności sytuacji.

Projekcję filmu w napisach końcowych zwieńcza utwór Plainsong zespołu The Cure, co nadaje ostatni szlif wymowie dzieła. Piosenka, pozornie pełna beznadziei i niepewności, zostawia jednak zwiastun czegoś pozytywnego – przecież w gruncie rzeczy wszystko zależy od nas samych i tylko my potrafimy odnaleźć coś, co nadaje sens naszemu życiu.

Zwojnimy tempo: muzyczne improwizacje festiwalu

MICHALINA REDA

Na tegorocznej edycji All About Freedom mamy szansę zapoznać się nie tylko z filmem, ale również z muzyką. Ogród Zimowy Europejskiego Centrum Solidarności na potrzeby festiwalu zmienił się w przestrzeń magiczną, wyjątkową i inspirującą – słowem – idealną do tego, by zmierzyć się z pięknem dźwięku w jego hipnotyzującej prostocie.

Ogród powolności, bo tak nazywa się instalacja dźwiękowo-przestrzenna, goszcząca aktualnie w ECS, to dzieło Ola Walickiego i Natalii Cyrzan i, trzeba przyznać, robi naprawdę pozytywne wrażenie wśród uczestników festiwalu. Gra reflektorów, lampek i cieni oraz minimalistyczne dekoracje wspaniale komponują się z klasycznymi instrumentami wystawionymi na podwyższeniu w publicznej przestrzeni. Gdy zapada noc, cały ogród spowija półmrok, a wówczas, poza światłami, pierwsze skrzypce w instalacji zaczynają grać muzycy. Tak było również wczoraj, kiedy na scenie pojawił się pomysłodawca przedsięwzięcia, Olo Walicki. Za pomocą kontrbasu, gitary oraz zestawu elektroniki, wypełnił budynek nietypową muzyką, która skutecznie zatrzymywała przy sobie publiczność, nawet tę najmłodszą. Przez pół godziny mieliśmy okazję wsłuchiwać się w prosty rezonans strun basowych oraz głosowych,



fot. Dawid Linkowski

a także melodyjne śpiewy szklanych naczyń. Występ Ola Walickiego w świetny sposób oddawał ideę instalacji: powolność udzieliła się obecnym, którzy dali się oczarować niskowej muzyce, zaś ukrytej w tym wyrazie cząstki wolności mogliśmy doszukiwać się w nieskrępowanej niczym improwizacji.

Ogólnodostępny ogród czeka na wszystkich, którzy chcieliby

przenieść się w trans i odkryć moc dźwięku – urozmaicić sobie wieczór krótkim koncertem może każdy, nawet nie mając biletów na projekcje filmowe. Niedzielną występ był jednym z pięciu przewidzianych improwizacji solowych w ramach festiwalu – przed nami jeszcze tylko dwie. W chwilowym oderwaniu się od problemów, jakie porusza kino, warto naładować baterie właśnie muzyką.



fot. Dawid Linkowski

**OGRÓD
POWOLNOŚCI**

**DZIŚ O 19:45
KONCERT
WACŁAWA ZIMPLA**

O człowieku, który uwolnił taniec: Debata po filmie Mr. Gaga

MICHALINA REDA

Zeszłoroczny dokument Tomera Heymanna, *Mr. Gaga*, oczarował całą publiczność trzeciego dnia festiwalu All About Freedom 2016. Projekcja rozpoczęła się o 17:00, zaś dwie godziny później widzów zaproszono na rozmowę z Leszkiem Bzdylem i Katarzyną Pastuszką. Dyskusja toczyła się ponad godzinę, a mimo to temat i tak nie został wyczerpany...

Rozmówcy Magdaleny Hajdysz bezopresyjny, bez narzuconych ram jak to osoby doskonale orientujące się na przykład w tańcu klasycznym... Ten w materii tańca i teatru, a o tym właśnie taniec jest sam w sobie zjawiskiem

w żaden sposób próbą budowania kultu wokół ruchu „gaga” ani wokół postaci Ohada Naharina – tymczasem, potocznie rzecz ujmując, wszyscy i tak to kupiliśmy. W każdym człowieku kryje się potrzeba wolności i wyrażania samego siebie, dlatego po projekcji cała widownia była zakochana w postaci charyzmatycznego choreografa, który dał taką możliwość swoim uczniom. Taniec wyzwala ogromne, często trudne do opisanie emocje, stając się tym samym materiałem trudno przekładalną na ekran, jednak film Heymanna, jako w pewnym sensie bezkonkurencyjny, umacnia swoją pozycję w kinematografii poprzez bardzo dobrą jakość w każdym tego słowa znaczeniu. Jest to naprawdę piękne i emocjonujące kino i wszyscy – zarówno publiczność jak i goście debaty – uznali, że chcieliby obejrzeć *Mr. Gaga* jeszcze raz.

Dla tych, którzy nie mogli zjawić się w niedzielę i wspólnie z całym ECS bić



fot. Dawid Linkowski

Mr. Gaga traktuje. W filmie przedstawiono historię izraelskiego choreografa, Ohada Naharina, jego doświadczenia i drogę ku wyznawanym przez siebie ideałom. Wszystko to podane było w kolorowych energetycznych ujęciach, przeplatanych z autentycznymi nagraniami sprzed lat i jako całość tworzyło dokument, któremu naprawdę nie sposób się oprzeć. Debata po projekcji dotyczyła głównie tańca jako sposobu wyrażania swoich emocji, poglądów i idei. Wszyscy, łącznie z zabierającą głos publicznością, zgodnie uznali, że Ohad, którego przed momentem oglądaliśmy na ekranie, okazał się w tym mistrzem. Idea „gaga”, jak mogliśmy dowiedzieć się z rozmowy po filmie, niesie za sobą przede wszystkim wolność. „Praktykując ten styl, mamy poczucie, że jesteśmy wolni i sami możemy badać granice ciała, przestrzeni, wytrzymałości” – mówiła dr Pastuszką, powołując się na własne doświadczenia z „gaga”. „Ta idea narodziła się w latach 60-tych, jest to taniec demokratyczny,

wolności twórczej”, dodał Leszek Bzdyl, udowadniając w prosty sposób fenomen izraelskiego tancerza, który ów ruch zapoczątkował. Oscylując wokół



fot. Dawid Linkowski

doskonałej strony technicznej filmu oraz pięknego przekazu, jaki za sobą niesie, rozmówcy zgodnie uznali, że *Mr. Gaga*, mimo swojej cukierkowości i sile oddziaływania na wyobraźnię, nie był

braw po skończonym seansie – dobra wiadomość! *Mr. Gaga* prawdopodobnie wejdzie na ekrany polskich kin. I już teraz można śmiało założyć, że podbije je w błyskawicznym tempie.

Nam tu nagle XXI wiek wylądował

BARTOSZ WOJTASIAK

- Ładne? - spytałem mieszkającego tu od 35 lat pana Ryszarda. Skierowaliśmy wzrok na nową siedzibę Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Gdańsku. Na szklanej fasadzie załamywało się odbicie ponad stuletniej kamienicy. - Wiesz pan, może i ładne, ale coś tu nie pasuje. Albo toto, albo my z adresem przy ulicy Stare Domki 1.

Do WFOŚiGW przyjeżdżają wycieczki szkolne i zagraniczni goście. Wszyscy mają szansę podziwiać energetycznego prymusa. Budynek na miarę naszych czasów, spełnione marzenie eurobiurokratów o zrównoważonym rozwoju i odnawialnych źródłach energii. - Tak, to zdecydowanie budynek inny niż wszystkie – potwierdza pan Piotr, doradca energetyczny oraz koordynator zakończonych już prac budowlanych. Po czym zarzuca mnie fachowymi zwrotami i parametrami technicznymi budynku, które wywołują stan będący połączeniem podziwu i znużenia. Jestem pod wrażeniem wszechobecnej spójności z misją funduszu, poczynawszy od broszur na ekologicznym papierze, na energetycznej samowystarczalności kończąc. Budynek z całą pewnością wyjątkowy dzięki zastosowanym w nim rozwiązaniom. Co więcej, niebrzydki. Swoim rozmiarami nie stara się dominować nad otoczeniem, a mimo to pozostaje obcy. Jak odmienność tego miejsca wpływa na jego otoczenie? Czy fundusz potrafi zadbać też o najbliższe mu środowisko – sąsiadów?

Wróciłem pamięcią do rozmowy o zaangażowaniu lokalnej społeczności, jaką odbyłem podczas dyżurów konsultacyjnych w sprawie powstania w pobliżu centrum kulturalno - artystycznego.

Jak się okazało poza mną, temat ten zainteresował raptem 4 mieszkańców. - Czy budynek został zaakceptowany przez sąsiadów? - pytam pana Piotra. Ten zaskoczony moją dociekliwością wspomniął o pierwszych nieśmiałych próbach wspólnego poznania się podczas dni otwartych nowego gmachu, ale tak naprawdę to ciężko powiedzieć, bo przecież w pierwszej kolejności są obowiązki służbowe. - O to trzeba już zapytać samych mieszkańców – zakończył.

Z panem Ryszardem i panią Jolantą rozmawiam siedząc w jednej z tych niezgrabnie doklejonych do kamienic komórek, które w ciepłe dni pełnią swoją podwójną rekreacyjno-gromadczą funkcję. Przy odrobinie fantazji można by uznać ją za industrialną altanę, gdyby nie piętrząca się pod niski sufit sterta byle czego do palenia w piecu kaflowym. Na jej tle, wygodnie rozparty na wiekowym krześle, pan Ryszard wyglądał jak jeden z bohaterów serii Mad Max.

- Od 15 lat mieszkamy w kamienicy przeznaczonej do rozbiórki – żalił się w pogodnie pogodzony ze swoim losem sposób.

- Ale budynek nie grozi zawaleniem, nie dlatego przesiadują Państwo w komórce? – upewniałem się.

- A skąd! - wykrzyknął z rozbawieniem – Patrz pan, nasz adres to Stare

Domki 1, a następna kamienica ma numer 4.

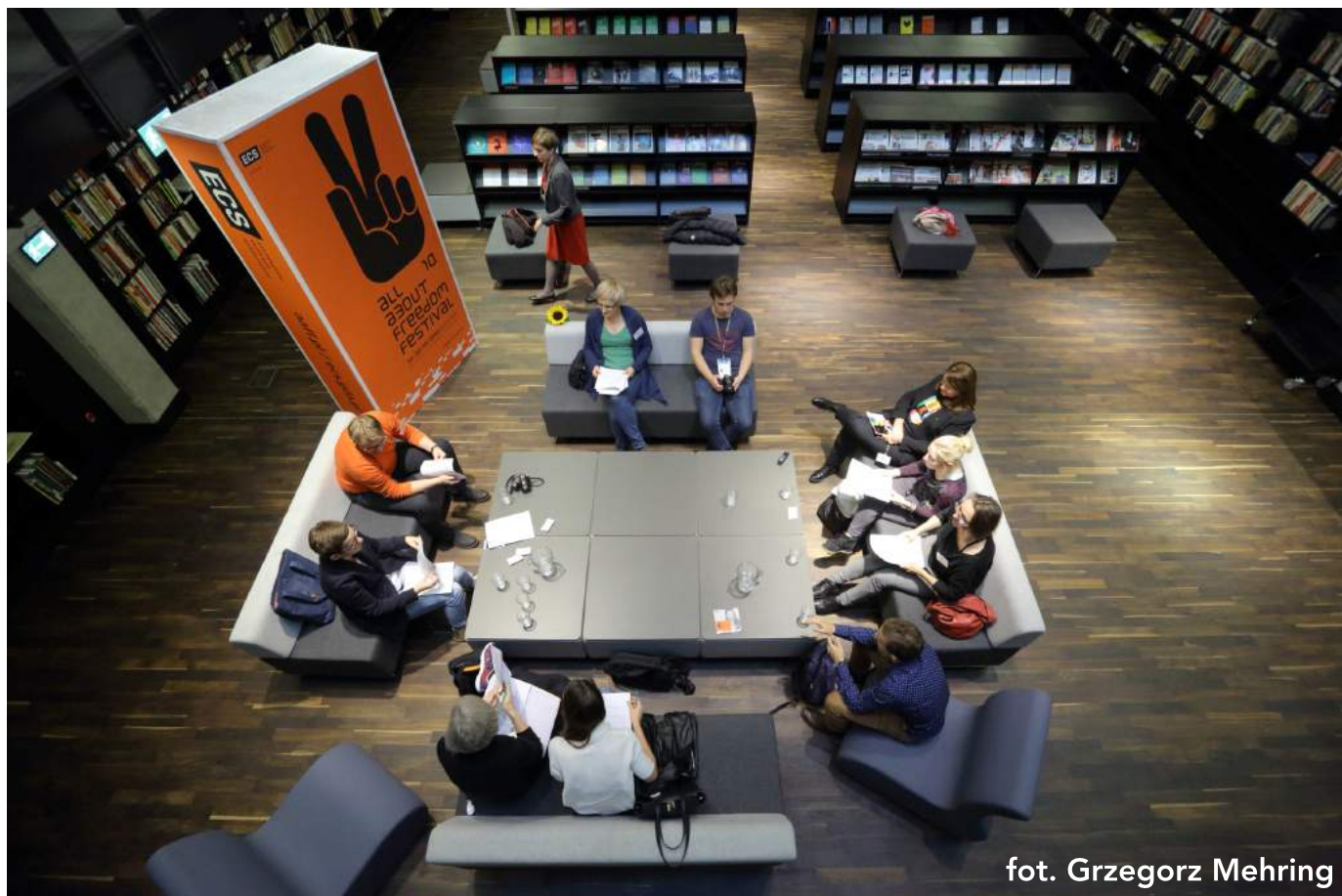
Faktycznie, znajdowaliśmy się na placu będącym wyrwą w szeregowej zabudowie, która razła oczy jak braki w uzębieniu presterki telewizyjnej.

- I nie wiemy co z nami będzie. Problem to my mamy taki, że mieszkania wykupić nie możemy i w takim zawieszeniu ciągle.

Wygonią nas, czy pozwolą zostać? Kamienica z połowy XVIII wieku, a remontów nie robią, bo burzy będą. Kiedy? Nie wiadomo. - pani Jolanta zwróciła się do męża w poszukiwaniu odpowiedzi.

- No właśnie, nowe idzie to i stare trzeba będzie uprzętać. Widział pan jakie zmiany w dzielnicy. Nie powiem, i czystiej jest i samochody jeżdżą jakich tu wcześniej nie było. Ten urząd, o który pan pyta, niby taki inny, ale niech tu stoi, młodym się podoba. Wcześniej tylko gruz tam leżał. Zaraz na nas przyjdzie kolej, kamienice zburzą, nas wygonią i wybudują inną, nowoczesną, ale już bez nas.

Nowy budynek WFOŚiGW przy ulicy Rybaki Górne 8 uroczyście otwarto 31 marca. Ostatnio tyłu polityków widziano tu w 1924 roku na otwarciu Domu Polskiego w Wolnym Mieście Gdańsku, przy sąsiedniej ulicy Wałowej (wówczas Wallgasse). Włodarze miasta coraz częściej



fot. Grzegorz Mehring

zaczynają ingerować w okolicę, ale stan niektórych budynków sugeruje, że wcześniej nieczęsto tu bywali. Szczęście i nieszczęście okolicznych mieszkańców wynika z położenia pomiędzy dwiema sztandarowymi inwestycjami – Europejskim Centrum Solidarności i Muzeum II Wojny Światowej. Do tego wielkie plany związane z budową na terenach postoczniowych tzw. Młodego Miasta. Część budynków, a może i mieszkańców przestanie pasować do wizji miejskich urbanistów.

Włączyłem się pomiędzy budynkami. Historia tego miejsca kazała mi podejrzewać, że gdzieś za rogiem kolejną z zagadek rozwiązuje Bogusław Wołoszański. Zaglądałem w okna mieszkań i zastanawiałem się, czy ich właściciele upatrują w nadchodzących zmianach szansę na odmianę dzielnicy. Czy wiążą

z tym jakieś nadzieje, a może postrzegają ją raczej jako zagrożenie dla rytmu i stylu ich dotychczasowego życia. Jedną z pierwszych jaskółek tych zmian stała się nowa siedziba WFOŚiGW, która jak statek kosmiczny, cofnęła wskazówki zegara i wylądowała w minionym stuleciu. O to właśnie zapytałem przemykającego z siatką z zakupami mieszkańca jednego z bloków ustawionych wzdłuż kanału Raduni.

- To? Sugeruje pan, że pracują tam kosmici? Hah! Aaa, takie to nowoczesne? To nam tu nagle w dzielnicy XXI wiek wylądował!

Przeszedłem raptem kilka kroków i stanąłem pomiędzy rozrzuconymi jak kości do gry, betonowymi klockami ośmiopiętrowych bloków. Utrzymujące się w dobrze znanej stylistyce Tetris PRL, stanowiły

swoisty pomost dziejowy między starymi kamienicami i nowoczesnym gmachem funduszu. Pod jedną z klatek przyłączyłem się do sąsiedzkiego kolektywu dyskusyjnego, drażąc dalej temat.

- Nam budynek urzędu się podoba, ale proszę popatrzeć na te nowe inwestycje deweloperskie. Tragiczne. Bastion Wałowa... jak można było na to pozwolić?! Całkiem zasłoni nam widok na stoczniowe żurawie – młode małżeństwo z 5 piętra odnosiło się to kontrowersyjnej inwestycji LC Corp, który mimo protestów mieszkańców i środowisk artystycznych buduje smutne wieżowce na terenie Młodego Miasta.

- Bardzo dobrze, że to urząd bo w końcu smród z kanału zniknął, a od kilku lat nie można było się o to doprosić - stwierdziła z osiedlowym empiryzmem starsza pani z parteru.

dokończenie - s. 10

- Ciekawe – pomyślałem - czy dla tego miejsca jakiegokolwiek znaczenie ma, że to właśnie urząd wyrósł w dzielnicy? Podszedłem z tym pytaniem do grupy osób siedzących pod Pomnikiem Obrońców Poczty Polskiej. Już samo ustawienie na ławce sugerowało, że mają niemałe doświadczenie w odpiernaniu wdzierającego się za kołnierz jesienno wiatru, tworzyli coś w rodzaju zbiorowego wiatrochronu. Po nieco nieobecny wzrok było widać, że nie samą formacją obronną walczą z chłodem. Zadeklarowali się jako dumni mieszkańcy ulicy Stare Domki, a na pytanie o fundusz trzy osoby wskazały mi palcem kompletnie przeciwne kierunki. Czwarta była jedynie w stanie wydać ciche westchnienie dezaprobaty. Z niemałym wysiłkiem udało nam się zsynchronizować współrzędne geograficzne, po czym przeszliśmy do chaotycznej wymiany zdań na temat urzędu. Najbardziej rozmowna okazała się jedyna w tym towarzystwie kobieta, która wyraziła nadzieję, że wraz z pojawieniem się urzędników wreszcie komuś się o nich przypomni, a zmiany w dzielnicy bardzo jej się podobają i czy może z tej okazji chciałbym dać piątkę. Nie chciałem.

Kilka metrów dalej pewien, jak się później okazało nierozmowny, młody chłopak ominął mnie z gracją nawiązującą do najlepszych tradycji mieszczącego się niegdyś nieopodal przedwojennego gdańskiego Domu Gimnastyki (Gymnastikhaus, przy Hansaplatz 7b) i mruknął pod nosem:

- Jest mi to obojętne, pytaj kogoś innego. Nie było nikogo. Jedynie budynek funduszu puszczał do mnie oko

migoczącą lampką bramy wjazdowej.

Co na to sam bohater? Ponad 1800 metrów kwadratowych najnowocześniejszego pod względem rozwiązań ekologicznych obiektu w województwie. Pierwsze podejście zakończyłem jedynie obwąchaniem budynku z zewnątrz, a to za sprawą pani woźnej, która wzorowo nie wpuściła mnie do środka po godzinach urzędowania. Podjąłem jeszcze nieskuteczną próbę zagajenia przez ledwo uchylone okno, ale przegrałem walkę o jej uwagę z serialem na ekranie monitora. Nieco więcej czasu poświęcił mi ochroniarz, rozpoczynający 12 godzinną nocną zmianę. W gruncie rzeczy zadowolony, bo ciepło, spokojnie, wygodnie.

- I internet jest! W poprzedniej siedzibie nie było tak dobrze - rzucił triumfalnie spod wąsa. A sam budynek dobrze się wpisuje w to co będzie się tu dziać. Niech pan tylko spojrzysz ile tu miejsca, zaraz wszędzie tu będzie nowe. Taki budynek, gdzie by nie powstał to mógłby wzbudzać kontrowersje, a tu za parę lat będzie już pasował.

Drugą, tym razem skuteczną, próbę przyjrzenia się z bliska podjąłem dzień później. Niestety, jak większość nowoczesnych budynków i ten okazał się małomówny, niechętnie dzielił się sekretami. Był cichy, perfekcyjny i boleśnie dla dociekliwego oka sprawny. Żadnego skrzywienia, zdradzającego ból odpadających paneli, kasłania wentylatorów, czy ziewających wind. Stałem pośrodku ładu i symetrii. Nawet urzędniczkę poruszały się

w równym, miarowym tempie. Być może to efekt wybudowania urzędu na terenie dawnych koszar Artillerie-Kaserne I z 1885 roku, a może po prostu wymaga tego nieznaną mi techniką chodzenia w obcasach. Kiedy myśli zaczęły mi uciekać i krążyć wokół rozważań – czy ja właściwie nic tu nie słyszę, czy może jednak słyszę ciszę? - wyszedłem na zewnątrz. Raz jeszcze spojrzałem na „ekourząd”, jakże inny od okolicznej zabudowy. Nie obnosił się z tym, raczej skromnie przysiadł. Sprzątnął swoje podwórko i nieśmiało czekał na akceptację murowanych tubylców.

Wracałem przez przewieszony nad kanałem mostek, będący bramą powrotną do bardziej oswojonego XX wieku, kiedy zagadnąłem o nowy budynek sunącego w jesiennej wersji sandałów pana po czterdziestce. Przez szmer gumowej podeszwy szorującej o chodnik ledwo dało się usłyszeć:
- No pięknie miasto się rozwija, ale czy mieszkańcy za tym nadążają?

Tekst powstał podczas warsztatów reporterskich GDAŃSK – MIASTO OTWARTE, prowadzonych przez Magdalenę Grzebałkowską w ramach All About Freedom Festival

Ci, którzy skaczą: Dokument z wewnątrz

AGNIESZKA PAŚKO

„Codziennie przed oczami mam swoją przyszłość, lecz nie mogę jej osiągnąć”.

Temat uchodźców chcących przedostać się do Europy od kilku lat jest bardzo aktualnym zagadnieniem. Głównie za sprawą wojny, ludzie z zagrożonych państw decydują się na emigrację, co powoduje wiele dyskusji w Europie. Czy powinniśmy przyjmować ich do swojego kraju, czy pomagać im na odległość? Jednymi z emigrantów są obywatele afrykańskiego państwa - Mali. Marzą o przedostaniu się do Europy i rozpoczęciu nowego życia. Aby zmienić swój, los próbują przedrzeć się przez wielki płot do hiszpańskiej części Maroka – Melilli. „Ci którzy skaczą” to dokument dwóch reżyserów: Estephana Wagnera i Mortiza Sieberta, którzy wpadli na pomysł aby tę skomplikowaną sytuację pokazać z perspektywy człowieka znajdującego się w samym środku wydarzeń.

Abou Bakar Sidibe to obywatel Mali, który razem ze swoimi znajomymi marzy o tym, aby przedostać się na stary kontynent. W okolicznych górach, w pobliżu Melilla, znajduje się rezerwat Gurugu, w którym koczuje tysiące osób, które podobnie jak Abou chcą odmienić swój los. Bohater dostaje od reżyserów kamerę oraz pieniądze, aby jej od razu nie sprzedać i tak staje się trzecim - najważniejszym twórcą dokumentu. Jednocześnie jak mówią jego kompani, jest to szansa aby pokazać innym ludziom co się u nich dzieje i jak obce państwa wyzyskują ich kraj. Abou rejestruje to, co dzieje się w obozie, pokazuje relacje i motywacje mężczyzn, którzy przygotowują się do skoku przez płot. Przedstawiona historia to raczej urywki tego, w jaki sposób żyje sztucznie stworzona społeczność. Mężczyźni grają w piłkę nożną i warcaby, chodzą po



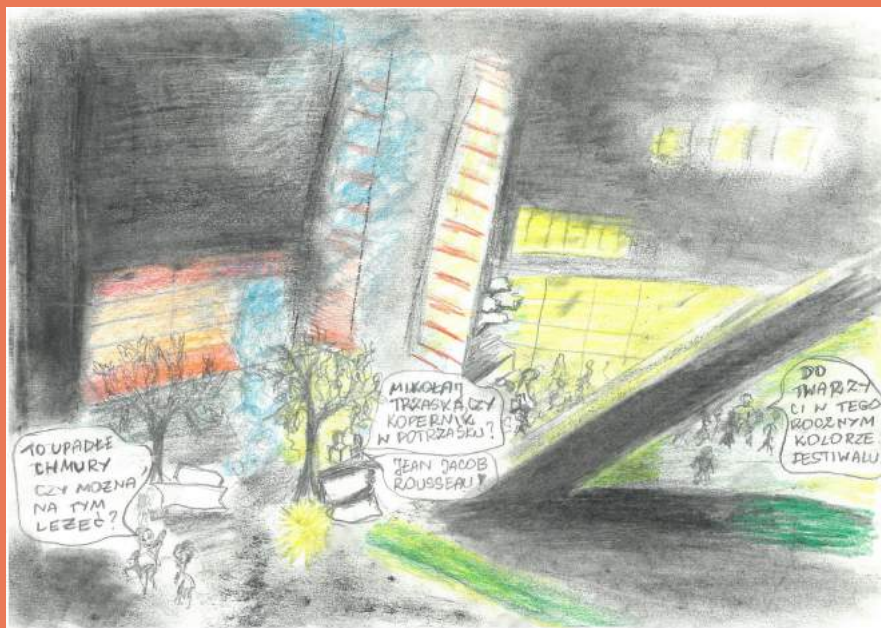
wodę, gotują. Żyją jak jedna duża rodzina, razem z psami i osłami. Mimo że niektórzy w rezerwacie znajdują się ponad rok, traktują to jako sytuację przejściową. Wszyscy żyją nadzieją i wspólnym celem – przekroczyć jedyną granicę, która oddziela ich od lepszego świata. To co wyróżnia ten dokument, to zdecydowanie sposób filmowania. Abou nie jest obcym filmowcem wśród nieznanym sobie ludzi, nie chce wybić się na ich nieszczęściu. Młody Malijczyk jest jednym z nich, osobą która tak samo jak inni pragnie zmiany. Dzięki temu widzimy wszystkie reakcje społeczeństwa. Ludzie nie boją się mówić do kamery o swoim strachu i niepewności związanej z obecną sytuacją. Pokazują wielką nienawiść do policji marokańskiej, która napada na ich obóz, paląc cenne zapasy żywności. Abou kilkakrotnie oddaje kamerę innym i pozwala się filmować, nawet w tak intymnej sytuacji jak rozmowa z matką jednego ze swoich towarzyszy.

Obraz nie jest przyjemny wizualnie, Abou bardzo mocno trzęsie kamerą oraz często „bawi się” zoomem co przeszkadza w odbiorze.

Jednocześnie uwiarygodnia to historię i sprawia, że widz momentami czuje się jak uczestnik wydarzeń. To, co zaskakuje w dokumencie o tak poważnej tematyce, to rodzaj niezwyklej energii, która towarzyszy jego bohaterom. Mimo poważnej sytuacji, mężczyźni śpiewają Whitney Houston na wzgórzu, tańczą po wygranym meczu piłki nożnej, żartują z europejczyków i rozmawiają o tym jak będzie wyglądało ich życie w Europie - zwyczajnie starają cieszyć się życiem każdego dnia. Abou jako jeden z nich w doskonały sposób sfilmował determinację uchodźców i tęsknotę za światem, do którego nie mogą się przedostać. Jest jednak pewien aspekt, który przeszkadza w odbiorze dokumentu. Film nie zostawia miejsca dla widza, bardziej przedstawia sytuację, surowo opisuje jak wygląda problem. Bohaterowie muszą sobie radzić sami. Historia jest zamknięta i nie zachęca do pogłębienia tematu. Nie daje nadziei na to, że coś może się zmienić.

OSTATNIA STRONA

Autorem wszystkich zdjęć jest Grzegorz Mehring. Nasze są tylko chmurki z painta :)



Podstyszała, przeinterpretowała i narysowała Anna Fedas

Redaktorki prowadzące: Krystyna Weiher, Paulina Pohl
Korekta: Ratunek o poranku zapewnia Kamila Łęgowska <3
Wydawca: Europejskie Centrum Solidarności

"Jednodniówka" festiwalowa jest współtworzona przez studentów I, II i III roku Wiedzy o filmie oraz Kulturoznawstwa na Uniwersytecie Gdańskim



PISZCIE DO NAS

jednodniowka-redakcja@wp.pl